

When the world ends

Leżała właśnie na łóżku, a po jej twarzy spływały łzy. Wtedy do pokoju wszedł on.

- Ubieraj się - wziął sweter z oparcia fotela i rzucił jej. Długowłosa dziewczyna nawet się nie poruszyła. - Ubieraj się - powtórzył mężczyzna, ale w jego głosie nie było złości. Tylko ponura determinacja.

- Po co, po co, po co... - mamrotała kiwając się w przód i w tył jak ktoś, kto właśnie wstrzyknął sobie spora dawkę towaru. Ale nigdzie w jej pobliżu nie było widać nawet śladu po igle.

- Jadę na przejażdżkę. A ty ze mną.

- Po co, po co...

- Obiecałem ci to. - Po raz pierwszy skierowała swoje spojrzenie na mężczyznę.

- Co... obiecałeś mi coś...?

- Chodź już.

Bardziej wyciągnął ją z łóżka niż ona sama tego dokonała; uniósł jej ramiona i wepchnął w rękawy swetra, sięgnął też po stojącą obok łóżka walizkę. Chwyciła go rękę i powiedziała słowa, których on do siebie nie dopuszczał i teraz też tego nie zrobił:

- To już nie jest potrzebne.

Ale jednak wziął walizkę, choćby dla zachowania pozorów.

Wsiadli do samochodu, a ona zauważyła jego kolejny bezsensowny gest: zapiał pasy. Ale może dzięki takim drobnym rzeczom udało mu się przetrwać tak długo...? Jechali pustą ulicą; musiał wykonywać slalom między porzuconymi samochodami, straszącymi otwartymi drzwiami; zostawiali za sobą podwójny ślad w postaci linii na grubej warstwie pyłu, pokrywającej jezdnię. Ona omiatała wzrokiem otoczenie starając się, by nie dotarł do niej prawdziwy obraz. Obraz opuszczonych restauracji, w których zwykła jadać razem z nim. Kin straszących wyblakłymi plakatami, gdzie obejrzel wiele filmów. Niegdyś tętniącego życiem, obecnie pustego i pełnego uschniętych drzew parku, po którym często się przechadzali. A on jechał dalej i cały czas milczał.

Nagle, długi trzask sprawił, że spojrzała w tamtą stronę. Właśnie zawałał się kolejny wieżowiec, niczym oglądany w zwolnionym tempie. Duma i chluba cywilizacji, która uważała, że wie już 'wszystko, zamieniała się w stertę gruzu i chmurę pyłu. Nie on pierwszy i na pewno nie ostami. Przypomniała sobie ogłuszający huk, gdy spadał ogromny wiszący stadion, miażdżąc pod sobą spory kawałek miasta. Myślała wtedy, że zaraz umrze, ale niestety tak się nie stało.

Coś gwałtownie huknęło o maskę i przetoczyło się po dachu; spojrzała za siebie i zobaczyła przez tylnia szybę spadającego z dachu ropniaka. Czegoś, w co zamieniał się człowiek w końcowym stadium choroby - w obrzydliwe, pokryte pękającymi ropnymi i krwawymi pęcherzami naczynie na oszalałą z bólu duszę. Myślała o wałęsających się po mieście pojedynczych ropniakach dzisiaj rano, gdy odkryła na dłoni pierwsze dwa pęcherze. On, który nawet się nie przejął potrąconym, miał z prawej strony szyi wielki czerwony bąbel, przez który nie mógł kręcić głową w tym kierunku. Na szczęście inni uczestnicy ruchu drogowego nie stanowili zagrożenia, bo takich nie było. Z wyjątkiem ropniaków.

Zbliżał się świt, a przynajmniej tak myślała; luna migocząca na horyzoncie mogła być czymkolwiek. Zgasły latarnie, zapewne zaalarmowane czujnikami światła, że właśnie nastaje

ranek. Spojrzała na zegarek, ale zapomniała, że nie nakręcała go już od kilku dni. Albo kilkunastu. Nachyliła się i odczytała godzinę z zegara na tablicy rozdzielczej samochodu: 2:17. Powinno być ciemno... W tym momencie zgasła też sygnalizacja świetlna. To znaczy, że padły ostatnie czynne generatory, produkujące energie dla systemów podstawowych, tak jak skrzynki diagnostyczno-medyczne, replikatory pożywienia i inne niezbędne do przeżycia urządzenia. Zatem skończyły się antygenetyki przeciw chorobie popromiennej, pobierane z med-skrzynki.

Sygnalizacja i latarnie gasły stopniowo wzdłuż całej ulicy; niczym galaktyka kolorowych gwiazd rozpływająca się w nicość. Gasły, by już nigdy nie zabłysnąć. Skręcił gwałtownie; wyrósł przed nimi stos częściowo zwęglonych zwłok, ułożony na skrzyżowaniu. Kto to zrobił i dlaczego - nie miało to znaczenia. Prawdopodobnie ten ktoś sam rzucił się w ogień i leży tam w postaci smętnych szczątków. Niedaleko stosu, niby w jakimś śmiertelnie poważnym dowcipie, była kwaciarnia, pełna wystających z doniczek kikutów tonących w stertach zwiędłych liści.

* * *

Mógłby jechać dalej, ale skończyła się droga, nagle, jakby ucięta nożem. Zatrzymał się, wysiedli oboje. On podszedł do krawędzi, ona powlokła się za nim; jej oczom ukazał się widok umarłej ziemi. Ściany budynków były ucięte równo razem z drogą, jakby ktoś potraktował gilotyną papierową makietę. Dalej znajdowała gigantyczna wyrwa i nieskończona równina.

Ostrożnie podeszła do krawędzi, choć irracjonalne było przejmować się teraz czymś takim jak lek wysokości. Poczuła się, jakby stała na szczycie potężnego urwiska czy wąwozu. Na samym dole widać było ziemie mającą postać spieczonej, brązowej, popękanej skały; z licznych wyrw wystawały resztki instalacji podziemnych miasta, setki postrzępionych rur i rusztowań. Ziemia, gdzie nie może istnieć żadne życie.

- Po...co?

- Obiecałem ci coś - stał wpatrzony w lunę na horyzoncie, odwrócony do niej plecami. Nie mówiła nic, więc kontynuował spokojnym głosem. - Szkoda, wielka szkoda.

- Dla... czego?

- Że to się kończy. A z drugiej strony dobrze, bo uda mi się spełnić moją obietnicę... Podeszła do niego powoli, utykając, z powodu złamanego obcasa.

- Jaką...?

- ...że... - głos opadł! mu na chwilę, ale po chwili podjął z tą samą mocą - że zostanę przy tobie... aż do końca świata.

Objęła go ostrożnie; luna była coraz bliższa i jaśniała nienaturalnym blaskiem. Odwrócili się od niej, nadal przytuleni, i ruszyli w stronę samochodu; w stronę zrujnowanego miasta. Luna eksplodowała blaskiem miliarda słońc i on mógł dopełnić swojej obietnicy.